

Sprawy młodzieży

Czy tylko głupcy wierzą w poranek?

Dobrej młodzieży Liceum Klaudyń Po-
tockiej i innych szkół Poznania — dedy-
kuje dla dyskusji.



Pewna przeciwstawność po-
staw ludzi dojrzałych i
młodych jest rzeczą starą jak
świat. Twierdzenie o jej nie-
istnieniu w jakiejś mniej lub
więcej odległej epoce byłoby
nonsensem. Nicość takiej tezy
ukazuje jasno przede wszystkim
psychologia. Obserwacja same-
go siebie — byle rzetelna — po-
ucza codziennie, że każdy z nas
jest istotą „plastyczną”: żłobi
ją niestrużenie czas, środowi-
sko, doświadczenia, które na
ogół z melancholią oskarżają
ludzie, gdyż więcej zabierają
niż — dają. Jestem dzisiaj inny
niż byłem wczoraj i inny będę
jutro, egzystencjalizm ogła-
sza to za swe wielkie „odkry-
cie”, nie bacząc, że wyważa
już otwarte drzwi.

Sądze, że „plastyczność” i-
stoty ludzkiej, pojęta bynaj-
mniej nie w płaskim i ko-
niunkturalnym znaczeniu do-
rażnych zmian postawy idea-
wej i orientacji w świecie, ale
w głębokim i dramatycznym
sensie ciągłego „stawania się”
i przekształcania naszej istoty
— można bez większych
sprzeciwów przyjąć za punkt
wyjścia. Na dobrą sprawę, to
nawet rzecz genialna, że świat
wypełniają i dojrzały i młodzi!
Gdyby wypełnił się tylko pierw-
szy — zanudziłby się sami
wspierając śmiertelnie i zamarzli
w bezwzględnej zerze chłód-
nej rozważ: są już bezpieczni,
bo niewiele ich czeka. Gdy-
by wypełnił się tylko młodzi,
nudziłby się jeszcze kró-
cej i spłonęliby ze światem
w temperaturze wnętrza słoń-
ca: są zagrożeni, bo czeka ich
wszystko. Dobrze więc, że
trwa ten dynamiczny
stan równowagi!

Przeciwstawność taka jest
więc faktem i nie trzeba nad-
 nią ani załamywać rąk dojrza-
łym ani młodym padmiernie
kołysać dźwignią. Ta uwaga
charakteryzuje prawdziwe
warunki. Doprawdy, kie-
dy one są spełnione, zarówno
dojrzały postąpiłby lepiej,
mniej zrzedząc, jak i młodzi
wiele by zyskali, mniej prowo-
kując. Wielka to szkoda, że tak
jednym jak drugim trudno
pójść na to małe ustępstwo...

Prawidłowe warunki,
powiedzieliśmy sobie dobitnie.
Nie dało ich nam ostatnie dwa-
dzieścia lat. Wpierw nerwowo
niepokój przed burzą dziejową,
potem jej zwalenie się na nas,
z zachowaniem proporcji —
najbardziej destrukcyjne w
całej skali światowej, na-
brzmiało konfliktami lata po
wojnie. Wbrew jereimiadom,
jesteśmy jednak z żelaza: z
iluzi narodów, rzuconych w hit-
lerowską noc, w warunkach
„kraju milczenia” nad Wisłą,
zostałyby tylko po prostu
strzępy? Tymczasem, my pozo-
stalimy i trwamy! Pozostały
nam jednak i dotkliwie troski
i rany. Zwichnięta została psy-
chiczna równowaga pokoleń.

Włodzimierz Krzyżaniak

Dojrzały z czasem — odejdą,
a zastępujący ich młodzi, „star-
cze psychicznie dwudziestolatk-
ki” będą psychopatami, powo-
łanymi przez historię do służ-
by. Takie przerażające i ube-
zwładniające wołę krakanie do-
ciera nas z wielu stron.
„Oskarżonymi” są młodzi.
Oto zebrano ich i posadzono
przed opinią publiczną na ła-
wach, jak na pokazowym pro-
cesie. Ale ten proces jest nie-
udany: „Oskarżenia są sżywni
w karkach i nie chcą się kajać.
Nie chcą się winić, słusznie
po trzykroć. Oskarżonymi bez
cudzołóstwa są tutaj, w aru-
nki, „wiatry i podmuchy” cza-
sów. Trzeba co prędzej zawie-
sić ten proces: wyzywa rozsa-
dek, słuszność, uraga rozważ-
dojrzałych. Pozostanie trudną
sprawą otwartą, jak najsku-
teczniej ratować tysiącz-
nych.

„Zwykły ludzki odruch ka-
że krzyknąć, że nieprawdo-
podobne, niemożliwe, by ten
naród, zżerany przez... okrut-
ne harpie, dotknięty jeszcze
został, dla pełni szczęścia,
nieuleczalną chorobą
swych młodych pędów. Nie
wierzę, nie chcę i nie mogę
uwierzyć...”

*) „A jednak wierzę...”, R. Drec-
ki, „Gazeta Poznańska” z 16 marca
bież. roku.

Niech mi tu wybaczy odważ-
ny obrońca młodych, że tylko
tyle przytaczam z jego żarli-
wej obrony. Podpisuję się pod
nią oburacz, uznając ją za głos
najrzetelniejszej młodzieńczej
pasji i dojrzałej zarazem roz-
wagi.

Ale oto nowy, już nie anoni-
mowy prokurator założył do-
stojną szatę.

„Głupcy wierzą w poranek”,
to upokarzające „credo” cyni-
zmu i blagi pozwoliło mu po-
rósć w piórka i — zaryzykuje
— przewrócić w głowie. To już
nie jest „Pierwszy krok w
chmurach”. Tamten stawiał
się jeszcze, przepiślowo, socre-
alistycznie. Dziś — modne są in-
ne historie z Dziewiątką. Moż-
na jedynie żałować, że Ma-
rek Hłasko (bo o nim
tu mowa) tak rozumie „plastycz-
ność” człowieka w czasie. Ale
nie można mu w pełni ufać,
gdy z niedopierzonej Saganny
w spodniach przebiera się szyb-
ko w prokuratorską togę:

„Ci młodzi ludzie, którzy
mają w tej chwili po 17, 18
lat, to, Bóg mi świadkiem,
nie wiem, co oni mogą prze-
żywać — jakie klęski, jakie
rozgoryczenia. Gdy sobie cza-
sem pomyślę, że ci ludzie za
20 lat będą rządzić tym pań-
stwem, nie zazdroścę tym,
którymi oni będą rządzić.
Zadnego dowcipu, żadnego
połotu, żadnej fantazji, tę-
pe chamstwo...”

Nie to jest ważne, że w fer-
worze oskarżeń prokurator po-
mylił dalej Anatola France’a
z Conradem, (widocznie za krót-
ko przytrzymał go na szkol-
nej ławie). Ważne jest oskar-
żenie o „tępe chamstwo”.
Oskarżenie rzucone w twarz
całej młodzieży! Ważne jest to,
że prokurator „wstydzi się sam
swojej młodej twarzy”. Ważne
jest, że — jego zdaniem —
każdy napotkany młody 18-let-
ni człowiek grozi prokuratoro-
wi „rozwaleniem czaszki ceg-
łą”. Ja nie tę młodzież oskar-
żałbym o „tępe chamstwo” i
„rozwalanie czaszki cegłą”.
Oskarżyłbym Marka Hłaskę o
godzenie w młodzież cegłą o-
belgi i nihilizmu.

Niech sobie młody pisarz
przypomni sprawę Katyliny.
Ten złoty młodzieniec rzymski,
cyniczny do szpiku kości, przy-
party do muru, nie rzucał obelg
na swych rówieśników. Zdo-
był się na ten styl i gest we-
wnętrzny. Hłasko tego nie um-
nie. Jak więc młodzi „oskar-
żeni” przyjmą jego ton proku-
ratorski i jego kwalifikacje do
noszenia togi?

**) Wywiad radiowy M. Hłaski..

od KALISZA do WENECJI

Twórczość Kulisiewicza zna-
na jest dobrze naszym Czytel-
nikom. Ale nie każdy wie, że
ten wybitny plastyk urodził
się w Kaliszu, gdzie ukoń-
czył gimnazjum im. T. Koś-
ciuszki. Mimo, że wiele już
lat związany jest z Warszawą,
a za granicę wyjeżdża częściej
niż do Kalisza, rodzinne mia-
sto pamięta doskonale. Szczegół-
nie utkwiły mu w pamięci
okoliczności kościoła Francisz-
kanów, stary mansardowy do-
mek kryty gontami przy ko-
ściele Bernardynów oraz widok
na miasto z ulicy Skary-
szewskiej.

Z czasów gimnazjalnych,
kiedy to powstały jego pierw-
sze akwarele, wspomina kalis-
zanina — Józefa Ozmienia,
dziś znanego plastyka poznań-
skiego, który imponował mu
zawsze swą umiejętnością
rysowania z pamięci pięknych
konf. Towarzyszem zabaw dzie-
cięcych był też doskonały ma-
larz, przebywający obecnie w
Anglii — Zdzisław Ruszkowski.

Kalisz i jego zabytki były
pierwszą szkołą spojrzenia
plastycznego Kulisiewicza. Nie
które z jego młodzieńczych
akwarel zachowały się do dziś-
dnia. Np. „Dorotka” — ulu-
biony temat młodzieńczy, po-
siada prefekt artysty z cza-
sów gimnazjalnych — ks.
Kalinowski.

Po ukończeniu gimnazjum
wyjechał Kulisiewicz do Po-
znania na dalsze studia.
Kształcił swój talent w Szko-
le Sztuk Zdobniczych pod kie-
runkiem prof. prof. Rogu-
skiego, Elstera i Wronieckiego.



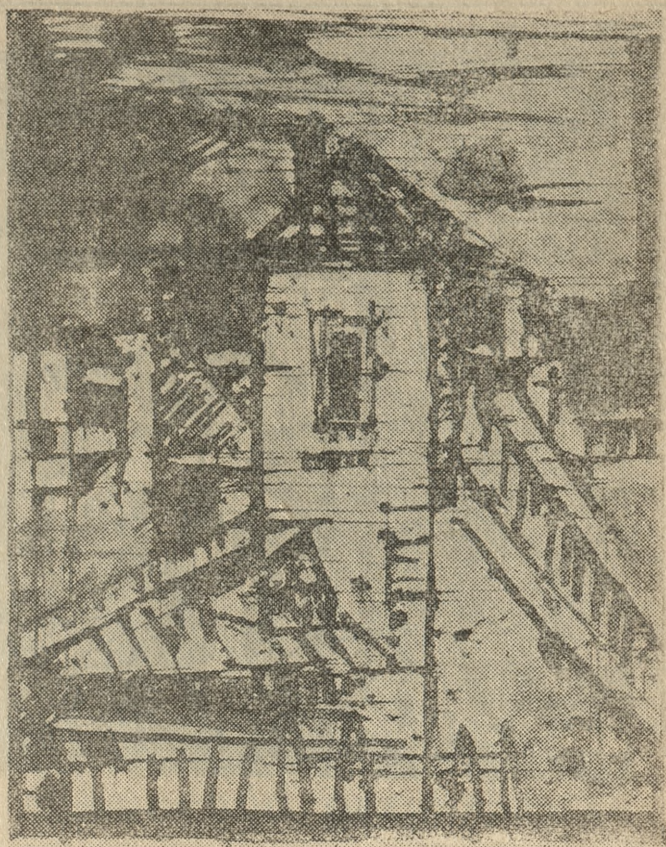
Natella Abaszwilli z cyklu
„Kaukaskie Kolo Kredowe”
Bertolda Brechta
FOT - CAF

Tematem pracy u tego ostat-
niego był oczywiście Kalisz.
Powstała wówczas teka lito-
grafii „Kalisz”.

Wszystko to jednak dawne
młodzieńcze lata. Lecz arty-
sta mimo swych ciągłych za-
granicznych podróży, wraca i
dziś myślnie do młodzień-
czych wspomnień. „W maju
lub na jesieni — mówi —
mam zamiar wybrać się do
Kalisza, aby przygotować szki-
ce do nowego cyklu „Kalisz”.
Chciałbym w swych rysun-
kach połączyć to co teraz jest
z młodzieńczą wizją tego co
było”.

Warto dodać, że z ostatniej
wystawy Kulisiewicza (repro-
dujemy tutaj niektóre prace
— ośmiem prac zostało za-
kupionych przez „Galleria
dell'Arte Moderna” w Wenecji.

Cz. Chruściński



„Dorotka” — młodzieńcze dzieło Kulisiewicza, powstało
w Kaliszu.

W obliczu Millenium

W związku z przygotowaniem
do Millenium przeprowa-
dziliśmy dwie rozmowy z wy-
bitnymi naszymi naukowcami:
prezesem Poznańskiego Towar-
zystwa Przyjaciół Nauk prof.
dr. Kazimierzem Tymienieckim
i dyrektorem Muzeum Archeo-
logicznego prof. dr. Józefem
Kostrzewskim.

A oto co powiedzieli nasze-
mu przedstawicielowi:

PROFESOR TYMIENIECKI:
— Jeszcze we wrześniu ubie-
głego roku z inicjatywy re-
ktora Kłafkowskiego powsta-
ła na Wydziale Filozoficzno-
Historycznym UAM komisja,
która następnie stała się rów-
nież Komisją Poznańskiego
TPN, będąca jakby załącznikiem
miejscowym obecnych przy-
gotowań do obchodów w la-
tach 1960—66. Bliższe dane
w sprawie Millenium w skali
ogólnopolskiej zostały ustalo-
ne 14 grudnia ub. roku na ge-
neralnej konferencji z udziałem
Przewodniczącego Rady
Państwa. Sprecyzowano naj-
ważniejsze punkty obchodu
tysiąclecia.

A więc najpierw wysta-
wy. Zorganizowane będą trzy
ekspozycje, dwie w Warsza-
wie: w Muzeum Archeolo-
gicznym z inicjatywy prof.
Hensla i Muzeum Narodowym
— wystawa, obrazująca 1000
lat istnienia Państwa Polskie-
go, na której znajdują się naj-
ważniejsze przedmioty zabyt-
kowe od insygniów koronnych
aż po pamiątki z walk o nie-
podległość. W Poznaniu
w Muzeum Narodowym ot-
wartą zostanie wystawa sztuki
romańskiej przygotowana
przez prof. dr. Z. Kepińskiego.

— A działalność edytorska?
— Właśnie o tym chciałem
teraz powiedzieć. Otóż z inicja-
tywy środowiska naukowego
w Poznaniu projektuje się
zbiorowe wydawnictwo, po-
święcone 1000-leciu Państwa
Polskiego. W wydawnictwie
tym zostaną uwzględnione trzy
dziedziny: powstanie naszego
państwa, kultura i religia (po-
czątki chrześcijaństwa w Pol-
sce oraz zagadnienie go-
spodarcze i społeczne. Edycja
ma objąć 32 studia autorów,
rekrutujących się ze wszyst-
kich ośrodków naukowych w
Polsce. Do redakcji wydaw-

nictwa weszli naukowcy po-
znańscy prof. prof. Labuda,
Lowniański i ja.

— Czy projektuje się kontakty
zagraniczne?

— Tak. Przewidziane są
międzynarodowe zjazdy nau-
kowe, m. in. spotkania archeo-
logów słowiańskich bałtyck-
kich w Warszawie. Poza tym
z obchodem Millenium połą-
czone zostaną uroczystości
600-lecia Uniwersytetu Ja-
giellońskiego w Krakowie, za-
łożonego jak wiadomo w 1354
r. z fundacji Kazimierza Wiel-
kiego. Jubileusz ten ma dużo
wspólnego z naszym kultural-
nym kontaktem, jaki zacie-
śniamy od wieków z bratnim
narodem węgierskim. Warto
np. zaznaczyć, że na Uniwer-
sytecie Jagiellońskim studio-
wało około 4 tysięcy Węgrów.

— A jeżeli chodzi o popularyza-
cję Millenium?

— Do tego dużą wagę przy-
kłada minister oświaty Wła-
dysław Biełkowski. Zaintere-
sowanie obchodami jest duże.
W masy — jeżeli mi się tak
wolno wyrazić — akcja ta pój-
dzie poprzez działalność w bi-
bliotekach, muzeach i szko-
łach.

— Czy istnieje jakaś łączność
organizacyjna między przygotowa-
niami ze strony Komitetu Central-
nego do spraw Millenium a dzia-
łalnością władz kościelnych?

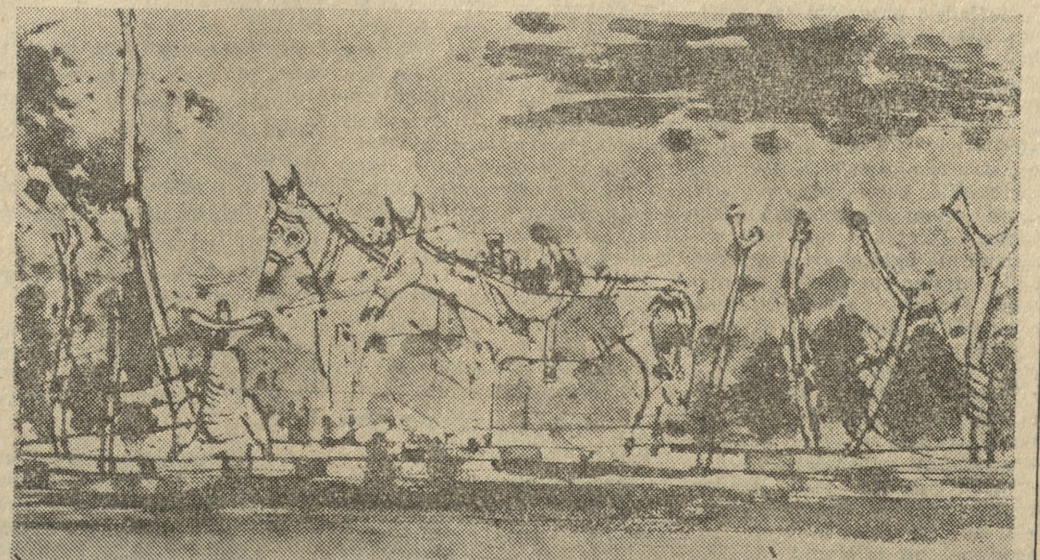
— Akcja czynników duchow-
nych czy publicystów i nau-
kowców, związanych ze śro-
dowiskiem katolickim — jest
całkowicie samodzielna.

PROFESOR KOSTRZEW-
SKI: — W związku z obcho-
dami 1000-lecia łączy się nie-
wątpliwie intensyfikacja prac
archeologicznych na Pomorzu,
w Wielkopolsce i Ziemiach Za-
chodnich. Gdańsk, Szczecin,
Wolin, Kołobrzeg, Między-
rzecz i Santok, który kroni-
karz Gall nazywa strażnicą
królestwa Polskiego — to
obecnie chyba najbardziej re-
prezentatywne ośrodki badań
cze. Prace postępują naprzód.
Poza tym mają być wznowio-
ne prace wykopaliskowe w
Poznaniu w ogrodzie semina-
ryjnym przy ul. Wieżowej.
Natrafiono tam już przed woj-
ną na ślady osadnictwa wcze-
snośredniowiecznego z okresu
pierwszych Piastów. Są to
szczątki domów, przedmioty
codziennego użytku itp. W
szczególności interesujemy się
czterema ośrodkami, w któ-
rych koncentrowało się rycer-
stwo za Bolesława Chrobrego.
Mam tu na myśli Poznań,
Gniezno, Włocławek i Giecz w
powiecie średzkim. Wszystkie
te ośrodki będą w roku bieżą-
cym intensywnie badane.

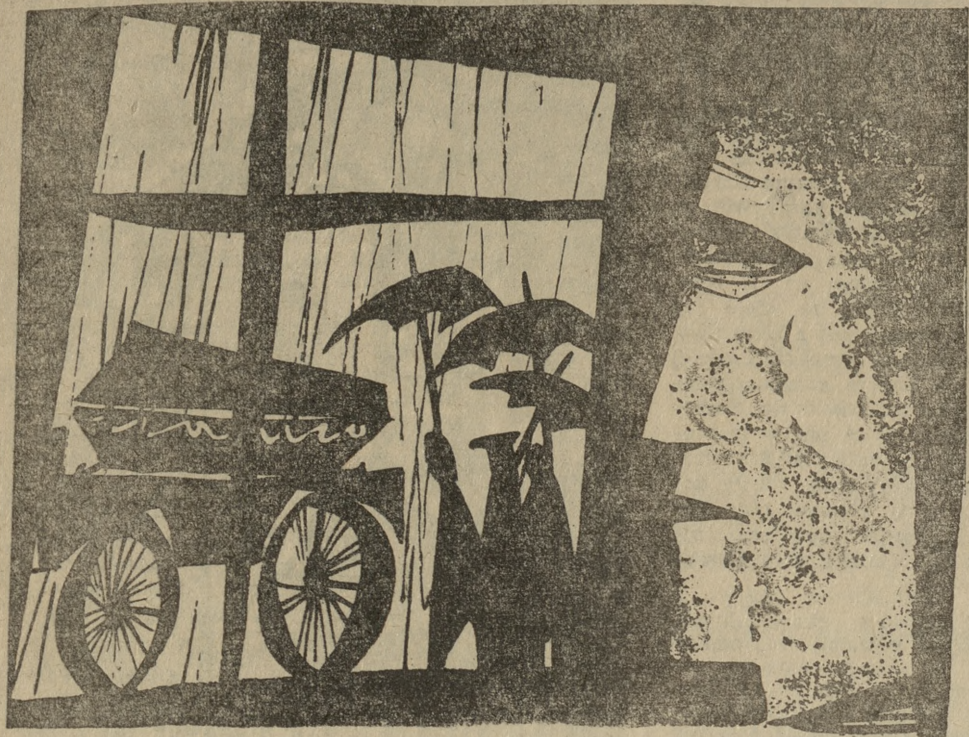
— Może kilka słów o polemice
na temat naszych Ziemi Zachod-
nich...

— Warto chyba w tym
względzie zanotować wysta-
pienie senatora amerykańskie-
go Reeca’a i moją odpowiedź
zawartą w artykule „O za-
chodnie granice Polski” umie-
szczonym w emigracyjnym pi-
śmie „Przegląd Zachodni”, któ-
re wychodzi w Londynie. W
tej materii wszyscy Polacy są
na szczęście zupełnie jedno-
myślni — kończy prof. Ko-
strzewski.

Rozmawiał:
Czesław Michniak



Pejzaż, z cyklu rysunków „Meksyk”



Janusz Biniek

Ilustr. L. Susicki

DZIWAK

Historia jest właściwie blaha. Nie wiem, czy w ogóle warto do niej wracać. Zdarzyła się osiem lat temu i wątpię, czy ktokolwiek jeszcze o niej pamięta.

Była późna jesień, kiedy szedłem przez wąskie uliczki N. Lubię do miasteczka bardziej od innych. Może dlatego, że nie miałem z nim nic łączyć. Ot — kilka służbowych, obojętnych spraw. Nie mam tu znajomych, byłem w nim zaledwie kilka razy. Żadnych wspomnień, żadnych zobowiązań, nic. Ilekroć szedłem uliczkami tego małego miasteczka, czułem się lekko i bardzo młodo. To dobrze, że istnieją takie miejsca, które można odwiedzać na prawach zwykłego gościa.

Tego dnia miasteczko nie było dobrym gospodarzem. Siąpił uporczywy deszcz, dął zimny, przenikliwy wiatr. Przez chłodnie przemysłali się wzdłuż bramy, omijając kałuże, w których pływały szmaragdowe liście. W takie popołudnie siedzi się w domu, gra w szachy, ceruje się skarpetki, naprawia zepsute żelazka do prasowania — słowem robi się wiele rzeczy, byle tylko nie wychodzić z mieszkania.

Deszcz szeleszczący po szybach przyciągał wzrok, paraliżował myśli, zmuszał do nasłuchiwania. Już dawno skończyliśmy rozmowę, na wieży kościoła wybiła godzina czwarta. Nie wychodziłbym z pokoju i milcząc patrzyłbym w okno. Być może, że urzędnik chciał przecześcić ulewę; nie mogłem jednak opędzić się wrażeniu, że również on czeka na coś co powinno przyjść. To było bezsensowne uczucie. Cóż bowiem mogło zdarzyć się nadzwyczajnego w tym małym miasteczku w nudny jesienny wieczór? A jednak siedzieliśmy obok siebie bez słowa i z uporem patrzyliśmy w okno.

W pewnym momencie szum osłabł. Urzędnik odetchnął, podniósł się i postawił kołnierz od płaszcza, usiłując niezgrabnie wpełzną pod kołnierz oderwany wieszak ze sznurowadła. Wyszlibyśmy z pokoju, ale — już przy drzwiach — obejrzał się za siebie i znów znieruchomiał.

Wyglądało to tak, jak w starym pijackim opowiadaniu. Najpierw szedł chłopak w przyciętej krawacie, potem wysoki, skurczony ksiądz z grubym organistą, a za trumną... za trumną nie było nikogo, kto różniłby się od przypadkowych przechodniów. Nikogo w welonie, czy choćby w czarnej opasce na rękawie. Kilku ludzi zamykających żalobny pochód miało twarze mokre i zniecierpliwione jakby czekali na tramwaj. Chłopak co chwile spoglądał na krzyż, przyciskając drzewce do piersi za każdym silniejszym podmuchem, ksiądz całą uwagę sku-

pił na bruku upstrzonym zdradliwymi kałużami. Parasole żalobników kołysały się chybotać jak wielkie czarne latarnie, próbując od czasu do czasu wyrwać się w szarą przestrzeń. Kondukt przeszedł tak szybko, że w pierwszej chwili myślałem, iż uległem halucynacji. Spojrzałem na urzędnika.

— Chwaję starego Kosteckiego — mruknął, ciągle z ręką na klawecie.

— Aha, Kosteckiego — powiedziałem. Nic mi to nazwisko nie mówiło.

— Pan go zna? — spojrzał na mnie uważnie. Jego oczy, zniekształcone szkłem okularów, przypominały spojrzenie wielkiego chudego ptaka. Nie uczyniłem żadnego ruchu.

— Myślałem... — bąknął przestępując z nogi na nogę. Buty miał wielkie jak czółna, o mocno zadartych noskach. — Bo tutaj znał go każde dziecko. Wie pan, jak to jest ze starymi dziwakami. Mają swoją istną popularność. Ale cóż, w taką pogodę... A rodziny nie ma.

— Jasne, w taką pogodę... — powiedziałem i popatrzyłem znów w puste już okno. Jakoś się to wszystko zgadzało: deszcz bijący o szyby, pospieszny pogrzeb bez rodziny, obojętni żalobnicy — zgadzało się i przypominało bardziej jakąś scenę z niemego filmu niż realne wydarzenie.

— Tak, to był naprawdę dziwak — ciągnął niezdecydowanie urzędnik. Zdjął już rękę z klawietki i obracał w niej weloniane wycierane rękawiczki. — Nie jakiś tam pomylenie czy wariat, tylko prawdziwy, oryginalny dziwak. W jego pokoju znaleziono mnóstwo szczegółowych projektów, że tak powiem urbanistyczno-komunikacyjnych.

Wrócił do biurka, otworzył szufladę i przez dłuższą chwilę patrzył do środka. Okulary w drucianej oprawie rzucały mdłe błyski.

— Mieszkał zupełnie sam, od wielu lat sam. Syn, panie, jest inżynierem w Nowej Hucie. Nie wiem jak wygląda, nie wiem nawet dokładnie gdzie mieszka, jak pan widzi, dlań nie było go na pogrzebie. Co miesiąc przychodził od niego przekaz pocztowy. Jakaś niewielka sumka, ale starość wystarczyła. Kostekci prawie nie pokazywał się na mieście. Całymi dniami siedział w tym swoim pokoiku, i — jak się okazało — rysował. Może myślał o synu? Kto wie, co może myśleć taki dziwak, przecież nikt z nim nie rozmawiał poważnie, najwyżej po- klepał po ramieniu: no, Ko-

stus, co słychać? Kiedy zmarł, nie wiadomo było co z tym zrobić. Ktoś wziął pod pachę i przyniósł do mnie. Jeśli pana interesuje, możemy przejrzeć.

Wyciągnął z szuflady rulon i rozwiązał czarną tasiemkę pozłóconymi od nikotyny palcami.

— Oto plan linii kolejowej. Data — 1937 rok. Tędy — pokazywał palcem o grubym paznokciu — miały przebiegać tory, a tutaj chciał Kostekci mieć dworzec. Sam budynek zaprojektowany jest osobno. Niech pan popatrzy. Co? Poznałby się nie powstydział. Miał starszek fantazję.

Nie znam się na rysunkach architektonicznych, ale zdumiała mnie drobiazgowość projektu. Rysunek upstrzony był mnóstwem niezrozumiałych skrótów.



— Kto wie — zadumał się urzędnik — może kiedyś będzie i u nas kolej?... Podobno była w planie, ale, pan wie, są rzeczy pilniejsze.

Rozwinął następny rulon, który przedstawiał fronton okazałego, dwupiętrowego budynku.

— Czego ten człowiek tutaj nie wyrysował! — mówił urzędnik jakby z zazdrością. — Ma pan salę na tysiąc pięćset miejsc, scenę z wyciągami, garderoby, aparaturę kinową. Na piętrze — biblioteka, bilardownia, czytelnia, muzeum. Jeszcze wyżej pokoje gościnne, salki na próby, mieszkanie. Oczywiście — wrócił do poprzedniego tonu — zaczęliśmy budować na wiosnę, na placu niedaleko kościoła. Dom skromny, bo skromny, nie taki jak Kosteckiego. Ale będzie. Pan sobie wyobraża, ile by taki pałacyk kosztował?

Szum za oknem był teraz ledwie uchwytny, tylko dzwony były głośno i równo. Urzędnik bez pośpiechu rozpakowywał trzeci rulon.

— A tutaj zobaczy pan rzecz wprost, no, horrendalną.

Karton przedstawiał plan miasteczka. Ulice narysowane były z wielką starannością. Wzdłuż nich biegi kolorowe

linie, każda zakończona kółeczkiem z numerkiem. Numerków tych było siedem.

— Śmieszne — mówił urzędnik. — Naprawdę śmieszne.

— Co to takiego?

Urzędnik patrzył chwilę na mnie z półotwartymi ustami.

— To są linie tramwajowe — powiedział szybko i znów utkwiał we mnie pytające spojrzenie wielkiego, chudego ptaka.

W pierwszej chwili uśmiechnąłem się. Ale starannie wyrysowane różnokolorowe kreski przyciągały wzrok. Pochyliłem się niżej nad planszą. Linia zaznaczona czerwonym ołówkiem zaczynała się koło projektowanego dworca i wciągając się przez całe miasteczko, kończyła kółeczkiem na jednej z ulic przedmieścia.

— Widzi pan, chciał mieć bezpośredni tramwaj na dworzec — powiedział urzędnik. — Dowcipniś, co?

— Nie rozumiem.

— Tutaj — urzędnik popukał palcem po czerwonym kółeczku — właśnie tutaj, przy tej uliczce, mieszkał nasz projektant. Za młodych lat podobno wiele podróżował, dlatego mówię dowcipniś. Zafundował sobie bezpośrednią linię na dworzec.

Rano, mając godzinę wolnego czasu, obszedłem miasteczko w ciągu kwadransa. Mój Boże — pomyślałem — mój Boże!

— A piątka miała iść aż — urzędnik podkreślił to „aż” — do tych czterech domków, pół kilometra za miastem. Nazywamy tę niby dzielnicę — Zapięciem. Powstała dla bezrobotnych, grubo przed wojną, w 1932.

Fantastyczne projekty Kosteckiego zaczęły mnie wciągać. Wyobraziłem sobie, że jadę nowym, czerwonym tramwajem. Motorniczy dzwoni na zakrętach, ludzie uśmiechają się z okien mijanych domów. A oto przystanek końcowy.

— Przed Domem Kultury — powiedziałem.

— Aha, przed Domem Kultury — powtórzył urzędnik.

Dłuższą chwilę patrzyliśmy na arkusz papieru. Złótki miejscami na brzegach, w prawnym rogu u góry widać było okrągłą brązową plamę, wyglądającą na ślad po szklance z herbata.

— Rzeczywiście dziwak — powiedziałem. — Marzyciel.

— Uhm. Mało dziś takich — dodał urzędnik.

I znów milczeliśmy. Było bardzo cicho w tym pokoju i za jego oknami, jakby deszcz splukał wszystkie odgłosy z powierzchni ulic i dachów. Tylko dzwony kościelne były wytrwale dalej.

— Chwileczkę — powiedziałem i jeszcze raz pochyliliśmy się nad arkuszem. — Obok tej jedynki co to miała kursować na dworzec, widzę drugą linię. Też zaczyna się w uliczce przy której mieszkał Kostekci. Dokąd to chciał jeszcze jeździć ten śmiały marzyciel?

Uważnie śledziłem trasę za znaczoną tym razem zielonym ołówkiem, i zaniem urzędnik dobrał do końca, już wiedziałem. Zielone kółeczko z cyferką siedem mieściło się obok prostokąta zapełnionego małymi krzyżykami.

— To... cmentarz — wyszeptał urzędnik.

Milczeliśmy. Cisza za oknami trwała dalej. Ustało nawet bicie dzwonu. Widocznie uroczystość pogrzebowa dobiegła końca.

Opowiadanie nagrodzone na konkursie literackim zorganizowanym przez Wydział Kultury Prezydium WRN w Poznaniu.

20 marca minęło dwa tysiące lat od urodzin sławnego poety rzymskiego Owidiusza. Liczne czasopisma krajowe i zagraniczne poświęciły tej rocznicy obszerniejsze wspomnienia. Szczególnie uroczyste obchodzą ją Włosi i Rumuni. Nauka polska uczciła ją w grudniu specjalną sesją, której referaty ukazały się w potrojnym numerze „Meandra”.

Któż z nas nie pamięta z lat szkolnych jego dźwięcznych i gładkich heksametrów w rodzaju: „Aurea prima sata'st”, recytowanych głośno i zbiorowo, czasem z przytupywaniem nogą „do taktu”. Może wtedy jeszcze nie odczuwaliśmy piękna tej poezji, bo przesłaniała je nudna gramatyka, wielka ilość nieznanymi słówkami i może nie opanowane jeszcze tajniki metryki. Mimo to pozostały nam z odległości lat miłe wspomnienia upoetyzowanych mitów o potopie, Dedalu, Arachnie, Niobie...

Wspomniano nam w szkole również o miłośniku twórczości poety, której jednak ani programy, ani podręczniki szkolne ze względu na zbyt swawolną treść obszerniej uwzględnić nie mogły. Jedno utkwiało nam w pamięć, miłanowicie to, że Owidiusz za te wiersze (a może za jakieś inne przestępstwo?) został skazany przez cesarza Augusta na wygnanie do małego miasteczka Tomi nad Morzem Czarnym.

Miłosna poezja Owidiusza, lekka, swawolna, pełna dowcipu i humoru, zawsze wykwiłała w formie, świadcząca o głębokiej znajomości życia, a zwłaszcza psychiki kobiecej —

Przypominamy poetów „PROMU”

Literatura dwudziestolecia międzywojennego — to przede wszystkim fajerwerk talentów poetyckich. Historia literatury polskiej nie notuje w żadnym okresie tak burzliwego rozwoju liryki. Powstają pisma, tworzą się grupy literackie o krańcowo różnych założeniach ideologicznych i artystycznych. Ow nieustający spór między treścią a formą, między myśleniem a dyscypliną konstrukcji artystycznej, którą się to myślenie konkretyzuje poetycko — dał rezultaty zgoła niepowspędne.

Wielkopolska włączyła się w ten spór poprzez dwa ciekawe zjawiska literackie, którym na imię „Prom” i „Okolica poetów”.

„Prom” powstał z założonego w Poznaniu w 1929 roku Stowarzyszenia Studenckiego „Promethidion”. Była to grupa zrzeszająca młodzież artystyczną: początkujących literatów, malarzy, muzyków.

Norwidowy patronat nie jest tu przypadkowy i ślady jego znajdujemy nie tylko w nazwie, którą zresztą później, z czysto praktycznych względów skrócono, ale w oryginalnej twórczości.

Dwuletnie życie „Promethidionu” skończyło się w roku 1931, kiedy to powstała „Prom” — grupa wyłącznie literacka.

Należeli do niej: Halina Brodowska, Edwin Herbert, Eugeniusz Morski, Nora Odłanicka, Zygmunt Psarski, Bronisław Przyłuski i poeci: Jadwiga Korwin-Piotrowska — prozajczka; Allan Kosko, Jan Ulański — tłumacz oraz Konstanty Troczyński — zdolny i utalentowany krytyk, a zarazem teoretyk grupy. Częstymi gośćmi „Promu” byli także: Jadwiga Popowska, autorka tomu wierszy „Przed nocą” oraz Szymon Pigwa, autor „Wolania nowiu”.

W roku 1932 zaczyna wychodzić pod identycznym z nazwą grupy tytułem jej organ, redagowany kolejno przez Herberta i Morskiego. Czternaste numery tego kwartalnika (przeznaczony był do wydania przed wojną) stanowi interesujący obraz literackiego Poznania tamtych lat.

Bardzo popularna przed wojną była Biblioteka Promu, w której ukazało się jedenaście książek, dziś — niestety — zupełnie niemal zapomnianych.

Obecnie grupa artystyczna „Wierzbak” zamierza — począwszy od 24 marca 1958 — organizować w kawiarni „Wrzos” przy Pl. Wolności „co-powiedziałkowe” stałe wieczory poetyckie i o-czywista, z uczestnictwem autorów. Na „pierwszy ogień” reprezentowane będą utwory poetów „Promu” Jadwigi Popowskiej, Edwina Herberta i Eugeniusza Morskiego. Wiersze ich usłyszymy w poniedziałek (godz. 20) w wykonaniu aktorów Państwowych Teatrów Dramatycznych w Poznaniu: Ireny Maślińskiej i Marka Okopińskiego. (mg)



Renesansowy pomnik w Sulmonie, uważany przez mieszkańców tego miasta za pomnik Owidiusza.

przyniosła poecie wielką sławę i popularność. Dochodził do tego osobisty urok tego ulubieńca stolicy, którego osobę pokazywano sobie palcami na ulicy i o którego uwiecznienie w pieśniach zabiegała niejedna elegancka arystokratka. Były to czasy błędnego po koju po ciężkich i długich latach krwawych wojen domowych. Korzystano więc z jego owoców w całej pełni, a może nawet i ponad miarę. Nic też dziwnego, że wiadomość o wygnaniu Owidiusza zrobiła piorunujące wrażenie.

Jeszcze na kilka lat przed wygnaniem zebrał Owidiusz około 250 opowiadań mitologicznych, głównie greckich, których bohaterowie przeważnie zamieniają się przy końcu w zwierzę, drzewo, kwiat, skałę, rzekę itp. Poeta starał się ująć wszystkie te opowiadania w pewną ciągłą całość i nadał dziełu, obejmującemu 15 ksiąg, grecki tytuł Metamorphoses — „Przemiany”. Wartość ich polega jednak nie tylko na samej kompozycji. Mimo epickiego tematu — li-rzyk dochodzi często do głosu i pod osłoną życia bogów i bohaterów znajdujemy znów obraz życia ówczesnych warstw społeczeństwa.

Na wygnaniu poeta nie zaprzestał twórczości, zmienił jednak ton na bardziej płaczący. W zbiorach poezji pt. „Tristia” („Zale”) i „Listy z Pontu” opisuje poeta rozstanie z Rzymem i rodziną, podróż, tęsknotę za krajem i życie na wygnaniu. Często też zwraca się do przyjaciół, których tyle kiedyś miał w Rzymie, gdy był szczęśliwy i do samego cesarza o zezwolenie na powrót do Rzymu lub przynajmniej na zmianę miejsca wygnania.

Niestety, próby te pozostały bez skutku. Do końca życia przyszło poecie przebywać wśród dzikich plemion barbarzyńskich. Umarł na wygnaniu w 17 lub 18 roku naszej ery. Zwyczajem rzymskim najprawdopodobniej spalono jego zwłoki na stosie, a urnę z popiołami posłano do Rzymu do żony. Jednak miłość potomnych poetów kazała szukać jego grobu. Powstało mnóstwo legend na ten temat. Nie brak również legendy o grobie Owidiusza w Polsce.

Ponieważ w liście do swego przyjaciela Owidiusz wspomina, że na uczył się mówić po getyku i sarmacku, a humaniści identyfikowali Sarmatów z Polakami, pojawiła się legenda, że Owidiusz znał język polski. Jeszcze w XIX wieku badacz starożytności litewskich, Narbut, pisze o górze Owidiuszowej między Styrem a Horyniem, a u Władysława Syrokomli w wierszu „Owidiusz na Polesiu” — „Nazon w pińskich lasach zbleta muchomory”.

Wszystkie te legendy są dowodem wielkiej popularności tego poety poprzez wieki i narody. Należał do najbardziej ulubionych klasyków w Anglii, w Polsce naśladowali go Filip Kallimach, Dantyszek, Krzycki, a szczególnie Janicki i Kochanowski, w Rosji wzorował się na nim Puszkina, który sam jako wygnaniec najlepiej rozumiał wygnanie. Nie brak było nawet w średniowieczu kaznodziejów, którzy starali się w alegoryczny sposób wykorzystywać jego „Przemiany” na ambony.

Na wielkość Owidiusza składają się: niezwykła łatwość pisania, lekkość formy, humor, dowcip, szerokość i bezpośredniość, duża niezależność w stosunku do Augusta, nowatorskość, a przede wszystkim doprowadzenie do najwyższego rozkwitu elegii rzymskiej.

Jan HOROWSKI

Jak człowiek poznaje świat?

Związek między materią a świadomością jest podstawowym zagadnieniem filozoficznym, które znajduje kraniecowo różne rozwiązania. Czy materia jest tworem świadomości, czy wręcz przeciwnie — świadomość jest jedną z właściwości materii? Co jest pierwotne a co wtóre — materia czy świadomość?

Dla przykładu weźmy książkę, falę elektromagnetyczną i powiedzmy — Księżyca. Po prostu nie ma mowy o jakichkolwiek wspólnych cechach między nimi. Jest to jednak tylko złudzenie, gdyż zarówno książka, fala elektromagnetyczna jak i księżyc posiadają wspólne cechy, wskutek czego są różnymi formami materii. Przedmioty te są dla nas źródłem rozmaitych wrażeń. Możemy więc trzymać w ręce książkę, słyszeć dźwięk wytworzony przez falę elektromagnetyczną, czy wreszcie widzieć Księżyca. Z drugiej jednak strony wiemy, iż przedmioty te istnieją niezależnie od doznawanych przez nas wrażeń. Książka czy zeszyt istnieje więc bez względu na to czy trzymamy ją w ręce czy też nie, fala elektromagnetyczna wydaję dźwięki rozchodząc się w przestrzeni bez względu na to czy słuchamy w danej chwili radia czy też mamy je zamknięte, a Księżyc, nasz wierny satelita, obraca się wokół Ziemi, nie zważając na to, czy go obserwujemy, czy nie. Najistotniejszą więc cechą tych zjawisk jest ich obiektywne istnienie — niezależnie od naszej świadomości.

Co to jest świadomość? Wiemy, że szereg żywych istot posiada zdolność mniej lub więcej świadomej reakcji na bodźce świata zewnętrznego. Np. zwierzęta unikają szkodliwych i unikają niebezpieczeństw. Czy więc posiadają

one świadomość? Przeprowadzone doświadczenia wykazały, iż zwierzęta kierują się jedynie instynktami, nie kształtując świadomie swego życia.

W przeciwieństwie do nich człowiek potrafi postawić przed sobą z góry określone zadania, umie stworzyć narzędzia pracy, za pomocą których zmienia otaczającą go przyrodę, zgodnie ze swą wolą. Dochodzimy więc do wniosku, iż świadomością nazywamy wysoki stopień rozwoju psychiki ludzkiej, wytworzony u człowieka na skutek wykonywania



Rys. L. Kapezyński

celowej pracy w wyniku długo trwałego rozwoju.

Wskutek działania otaczających nas przedmiotów na organy zmysłowe, powstają w naszym mózgu wrażenia, będące — mniej czy bardziej doskonałym odbiciem cech tych przedmiotów. Świadomość jest więc obrazem otaczającego nas świata w naszym mózgu. Jednocześnie jest pewną właściwością materii, z której zbudowany jest mózg.

Wiemy, że źródłem naszego poznania są głównie wrażenia zmysłowe. Człowiek stojący na najwyższym szczeblu rozwoju posiada liczne receptory pozwalające mu na stosunkowo dokładne przyjmowanie bodźców świetlnych, dźwiękowych, ciepłych itp. Każdy z tych recep-

torów (organów zmysłowych), „nastawiony” jest na odbiór pewnych bodźców. I tak np.: oko potrafi odróżnić różnice w natężeniu i barwie światła. Jednak jego reakcja na bodźce niewłaściwe — jak przepływanie prądu elektrycznego czy uderzenia mechaniczne — jest bardzo niesubtelna. Jest to wynikiem wielowłokowego przysposobienia się naszych organów do danego rodzaju bodźców.

Jakość wrażeń odbieranych przez poszczególne zmysły zależy zarówno od końcowych peryferyjnych organów nerwowych jak i od centralnych komórek mózgowych. Pobudzenie nerwów końcowych poszczególnych zmysłów dochodzi do mózgu na skutek elektrycznych impulsów. Poszczególne organy mają swój odpowiednik w korze mózgowej. W zależności od rozwinięcia narządu zmysłowego, z jego działalnością związaną jest odpowiednia działalność części kory mózgowej.

Mózg ludzki posiada liczne ośrodki czuciowe. Sześć ramy artykulu nie pozwalają na dokładne omówienie poszczególnych ośrodków, warto jednak wiedzieć, że poszczególne części mózgu różnią się między sobą budową komórkową, wskutek czego właściwość odczuwanych wrażeń jest zależna od budowy danej części mózgu.

Wpływ narządów zmysłowych na siebie odbywa się rozmaitymi drogami. W wzajemnym oddziaływaniu doniosła rolę pełni współczulny układ nerwowy, stanowiący ośrodek dla czynności odruchowych kory mózgowej przy odruchach warunkowych.

Człowiek będący rozumnym tworem, obdarzonym pamięcią, która magazynuje zdobyte poprzednio doświadczenia, na pytanie czy poznaje rzeczywistość prawa rządzące światem przy pomocy zmysłowych doznań i myślenia, znajduje odpowiedź w swej praktycznej działalności. Człowiek nie żyje samotnie, lecz w społeczeństwie. Wszystko cokolwiek wytwarza, wytwarza wspólnie, wraz z innymi ludźmi. Spójrzmy tylko o ile bogatsze są jego doznania zmysłowe, w porównaniu z wrażeniami człowieka pierwotnego. Świat staje otworem przed ludzką istotą, a rozwój nauki, techniki oraz kultury społeczeństwa dostarcza jej olbrzymiego, obserwacyjnego i poznawczego materiału. W ten sposób nasza wiedza o świecie i różnorodnych procesach w nim zachodzących — rozwija się w miarę upływu czasu. Sprawa już nie medycyny jest to, aby człowiek mógł wpływać na to, co spostrzega i poznaje z możliwie jak największą dla siebie korzyścią.

Opr.: J. MISIEWICZ

Nowości z kraju i ze świata

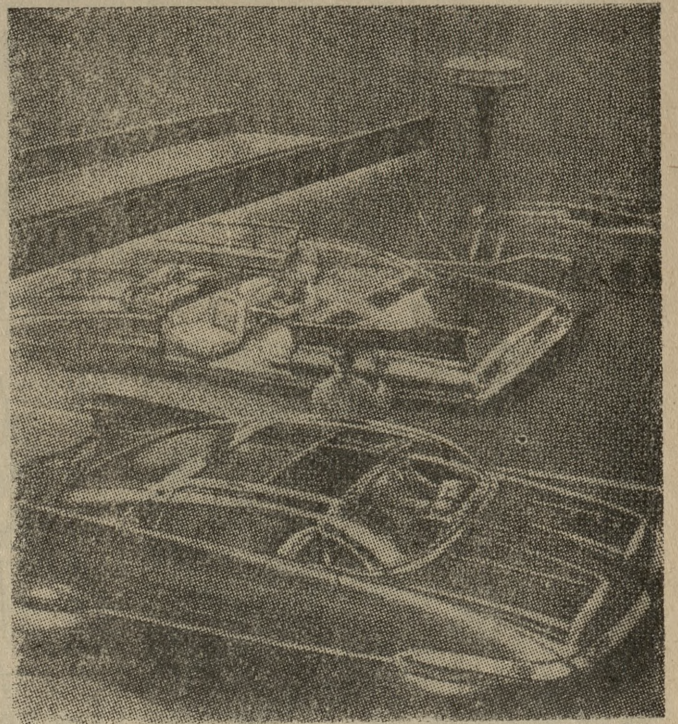
BUDOWĘ REAKTORA ATOMOWEGO rozpoczęło — jak wiadomo — w Świerku pod Warszawą. Nawet przy tak atomowej budowie potrzebna jest woda, a Świerk okazał się ziemią suchą. Zastanawiano się więc nad ewentualnym przeprowadzeniem wody specjalnym kanałem albo z Wisły albo ze Świdry. Nagle ktoś wpadł na pomysł aby po prostu sprowadzić różdżkarza. Różdżkarz pochodził koło reaktora atomowego, popukał i wodę znalazł. Tak to era atomowa skorzystała ze „zgniłych relikwii okresu ciemnoty i zaoferowania”.

PLASTYK WZMOCNIONY otrzymuje się mieszając masę plastyczną z włóknem. Włókno wprowadza się do plastiku w kilku warstwach, przy czym wytrzymałość wzmożonego plastiku rośnie kilkakrotnie. Plastyk wzmożony znalazł zastosowanie przy budowie kadłubów samolotów — obecnie buduje się z niego również nadwozia samochodowe.

BEZPIECZNA NITROGLICERYNA to brzmi paradoksalnie. Wszyscy wiemy o tym, że od nitrogliceryny lepiej być jak najdalej! Tymczasem w Ardeer w Anglii zastosowano nową, podobno całkowicie bezpieczną metodę produkcji nitrogliceryny. W tym celu zastosowano urządzenia sterujące na odległość i urządzenia telewizyjne, pozwalające na stałą obserwację produkcji.

STRUŚ W ROLI STROŻA OWIEC wystąpił niedawno po raz pierwszy w Afryce Południowej. O tym pomysłodawcy „wynalazku” hodowców owiec doniósł Międzynarodowy Sekretariat do Spraw Włny. Strusie zastępują ponoć z powodzeniem psy; nie są one wprawdzie mądre, ale za to niesłychanie czujne i napastliwe.

KIM BYŁA JOANNA D'ARC I ŚW. GENOWEFA? Czy rzeczywiście pasterkami, jak głosiła legenda? Artykuł historyka Alberta Mousset rozwiewa ten mętlik, dowodząc — na podstawie dokumentów z tamtej epoki — że ani jedna ani druga nigdy nie pasowała. Owece, jako iż obie pochodziły z zamożnych rodzin i pracowały w ograniczonej sferze do robót ręcznych. (ch)



Samochód przyszłości?

Licytacja amerykańskich konstruktorów samochodów na pomysł „auta przyszłości” — nie ustaje. Czytaliśmy już o samochodzie „zdalnie sterowanym”, którego działanie ma polegać na tym, że kierowca po uzyskaniu łączności radiowej z centralą ruchu autostradowego może zająć się pogawędką z współpasażerami lub czytaniem gazety, samochód taki byłby bowiem sterowany radiowo. Dwa tygodnie temu pisaliśmy o projektach samochodu o napędzie atomowym. Okazuje się jednak, że są również inne pomysły „samochodu przyszłości”.

Z ciekawą koncepcją wystąpił inżynier Carl Reynolds z Detroit. W gronie swych kole-

gów przedstawił projekt auta latającego. Proszę nie pomylić, że jest to inna wersja samolotu. Nic podobnego! Inżynier postanowił skończyć z konserwatyzmem. Kola? Precz z nimi! Zostają zlikwidowane, a zamiast nich turbiny gazowe tłoczące będą spaliły z taką siłą, że pojazd unosić się będzie na wysokości 60 cm nad powierzchnią ziemi. Zasada działania będzie podobna do tzw. „latających platform”, które dla celów wojskowych produkuje się w USA (uproszczony do ostatnich granic helikopter).

Wracając do fantastycznego modelu inż. Reynolds'a warto dodać, że turbiny „nośne” zastępujące koła mają służyć nie tylko do unoszenia auta przyszłości w powietrzu, lecz także do nadawania mu szybkości, sterowania i hamowania. Maksymalna osiągalna wysokość „jazdy” — 30 metrów. Konstruktor zapewnia przy tym, że przy słabym wietrze bocznym można by w ten sposób podróżować przez Atlantyk — z Nowego Jorku do Europy. Do tego celu potrzebny byłby jednak wykształcony nawigator.

O szybkości latającego samochodu nie jeszcze nie wiadomo. Przy puszczeniu jednak kształtowała by się ona około 200 km/godz. Inż. Reynolds nie wyjaśnił także, na czym polegałoby sterowanie pojazdu i czy na każdej wysokości np. w terenie górskim — pojazd miałby równą sprawność.

Mamy wrażenie, że na odpowiedź trzeba cierpliwie poczekać jakieś 15 do 20 lat... (jl)

Czy można użyć klawisz UKF?

Nowoczesne odbiorniki radiowe, zarówno importowane (Beethoven, Stern, Amati, Dominanta, Undina, Berolina), jak też i produkcyjne krajowe, wyposażone są — poza zakresami fal długich, średnich i krótkich — w zakres fal ultra-krótkich, obejmujący częstotliwości 87—100 MHz, czyli w skali metrowej długości 3—3,5 m.

Włączamy ten zakres klawiszem z napisem UKF.

Jednak, gdy mówimy o którymś z nich, mówimy o odbiorniku, okazuje się, że klawisz ten z reguły pozostaje martwy; trudno po jego uruchomieniu wykrywać jakas audycję z głośników.

Nasuwa się więc pytanie, czy u nas, w Poznaniu, można korzystać z tego zakresu?

Technika UKF jest na dzień dzisiejszy ukoronowaniem poszukiwań w celu zapewnienia możliwie najwierniejszego przekazywania zjawisk akustycznych drogą radiową. Jedynie przy jej zastosowaniu odnieść można wrażenie bezpośredniego uczestniczenia w koncertach czy prelekcjach.

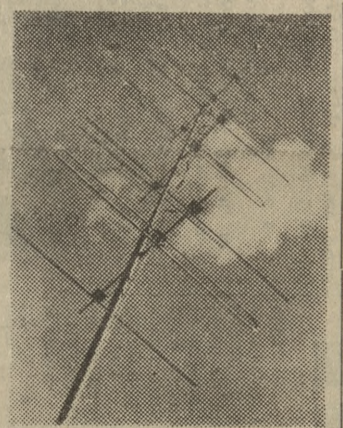
Audycje te są wolne od znanych zakłóceń normalnych zakresów fal (zakłócenia atmosferyczne, przemysłowe i interferencje z częstotliwościami innych stacji). W ogóle zakres fal krótkich nie jest tak wrażliwy na zakłócenia, co niechętnie stwierdził już przy odbiorze fal krótkich każdy radiosłuchacz.

Na Zachodzie rozbudowano rozległe sieci stacji radiowych UKF. W Polsce doświadczalne stacje UKF pracują w Warszawie i Opolu. Poznań objęty jest planem sieci UKF w roku 1960. Ale już dziś można w Poznaniu korzystać z odbioru stacji UKF.

Zazwyczaj odbiorniki zaopatrzone są przez wytwórcę w antenę specjalną dla UKF wbudowaną w odbiornik w postaci paska kabla przytwierdzonego wewnątrz skrzynki. Anteny te dać mogą odbiór tylko w pobliżu stacji. Toteż my na razie z nich korzystać nie możemy. Zbudować trzeba antenę wieloelementową ze wzmacniaczem antenowym, ew. sprzęt ten zamówić w jednej z firm tej branży (patrz zdjęcie). Anteny wspomnianego typu odznaczają się odbiorem kierunkowym, pragną „pa-trzeć” w kierunku stacji odbieranej, toteż konstruowane bywają jako obrotowe.

Autorem roku codziennie słucha w Poznaniu stacji na 3-metrowym pasie, zebrał już wiele doświadczeń i chętnie służy radą.

Inż. Franciszek CIERNIOCH



Fot. autora

WĘDROWKI PO STARYM POZNANIU

PLAC „KRÓLEWSKI”

Ostatnio musieliśmy zająć się różnymi sprawami, więc przerwailiśmy na pewien czas nasze spacerki po Poznaniu. Pogoda też była PIHM, według krajowego modelu: dziesięć miesięcy pluhy, a potem lato, lato i lato. Ostatnio jednak słoneczko działo się wyreca Ojca oraz Wujasz ków Miasta i likwiduje śnieg, który normalnie służy do wywożenia za miasto.

Wyszliśmy z ukochanego Teatru Polskiego, gdzie odbywają się „zamknięte posiedzenia” ku czci Wyspiańskiego dla starannie dobranej grona ludzi kulturalnych, pojdziemy na przechadzkę.

Opuszczając dziedzińiec Teatru, przypomnijmy, iż przed około 60 laty we frontowym budynku „Pomocy” znajdowała się „fabryka papierosów” Ganowicza. Do lokalnego produkcyjno-handlowego wchodziło się z ulicy po schodach. Część handlowa oddzielona była od fabrycznej kotarą, za którą 4, 6 a w końcu aż 8 panielenek produkowało papierosy wymyślne nazywane „Noblesse'ami”, „Patrici” czy „Doktorskimi”. Ganowicz sprze-dawał „Noblesse'y” bodaj po 15 fenigów za 10 sztuk. Opowiadał mi prof. K. Ulatowski, iż Ganowiczowi zdarzyło się kupować w Kolonii swoje „Noblesse'y” za 60 fenigów paczka. Taka sobie stara jak świat historia ze słonymi cenami za „zagranczne” rarytasy.

„Spływamy” więc ul. Teatralną (która nie wiadomo dlaczego jest dziś dodatkową do ul. Ratajczaka) i przystajemy u wejścia do placu Królewskiego. Po lewej ręce „schodzi” ku placowi ul. Górno-Młynska (Wiktorii, Mielżyńskiego, dziś

Lampego), na prawo prowadzą Dolno-Młynska i Fryderykowska (Pocztowa, 23 Lutego). Na wprost Królewska (Cieszkowska, Libelta) wiedzie poprzez Bramę Królewską i obok ogrodu Fehlanda (park Moniuszki) do „Metlera”. A da lej, to już na cały świat — choćby do Urbanowa!

Dziwnie wygląda ten plac Nowomiejski (to chyba właściwsza jego nazwa i historycznie uzasadniona). Niby to on regularny, a paskudnie przy tym wicherowany. Były tu dawniej drzewa, cień i trawniki, były ławki (w tych to odległych czasach poznaniacy nie chodzili po trawnikach na przejażdżki). Może to wszystko przypomniał sobie panowie z Ratusza, jako że i to, że plac zdoblił fontanna z „Perseuszem”. Powinna wrócić na swoje dawne miejsce. Fontanna ta ma swoją historię. Jej fundacja związana jest z wielką powodzią w r. 1888 (patrz zdjęcie), kiedy to na Starym Rynku łodziami pływano. Przy czyną klęski były fortyfikacje miasta, o których usunięciu długo walczył Magistrat. Wiadomo, że między biurokracjami najbardziej konserwatywna jest właśnie biurokracja wojskowa.

Fontannę wznieśli na pamiątkę pobytu cesarowej Wiktorii, żony Fryderyka III, a najstarszej córki królowej angielskiej. Wyzłotała Poznań w czasie powodzi. „Najjaśniejsza Pani!” jeździła toż po zalanych ulicach, było wiele rzewnych artykułów w lokalnej i ogólnej prasie niemieckiej.



Wielkie Garbary w czasie powodzi 1888 r. (Kopię ze starej fotografii wykonał St. Laskowski)

kiej, w ogóle — poruszenie. W każdym razie upamiętniono to wznieśleniem fontanny „Perseusza”. Na cokolwiek wydano 30 000 marek, które wpłaciła pewna fabryka, zalegająca z opłatami za wodę. A może by ten sposób zastosować przy realizacji budowy pomnika Mickiewicza w Poznaniu? Zawsze woda zdrowsza od wódki.

Twórcą tego udanego (jak na Poznań) monumentu był Jan Pfuhl z Charlottenburga. Główną grupę fundowała na wniosek Magistratu Krajowa (Wojewódzka) Komisja Kultury. I to także ważna wskazówka!

Wszystkie te rozważania za-trzymały nas na narożniku ul. Teatralnej. Może by jednak ulicę tę historyczną prawie nazwę przywrócić? Również i nazwę „placu Młodej Gwardii” tak bardzo książkową, sztuczną — chyba odmienić na dawną należy!

W drugiej połowie zeszłego stulecia, narożnik między Lam-

pego a Libelta zajmował między innymi obszerny ogród, w którym pobudowano Teatr Letni. Teatr powstał w roku 1856, zwano go „Letnim” lub „Hildebrandtowej”, od roku 1880 Teatrem Wiktorii. Tamto właśnie w roku 1884 wykonano po raz pierwszy „Halke” po niemiecku. Z czasem zaczęto w teatrze grywać w innych także porach roku — również po polsku. Była tam też restauracja. Po latach ogród Teatru Letniego zabudowano kamienicami czynszowymi. Długo jednak lata w samym narożniku placu utrzymała się restauracja „Boulevard”. Przez wielką bramę wjazdową można było przejść na tyły kompletu budynków i oglądać resztki ogrodowych „wspomnień”. Tamteży też, już pod koniec dwudziestolecia, pro-wadziło dojeżdż do letniego ogrodu „wielkiego Dobskiego”.

Co tu jednak skreślać do „Dobskiego”, kiedy tyle jeszcze wspomnień budzi się w zwią-

ku z samym placem Nowomiejskim! Trzeba opowiedzieć przede wszystkim anegdotę „turecką”. Znacnie historykę o „alaim aisak”? Znacnie? „No, to posłuchajcie!” Ale dopiero następnym razem; najpierw wsta-pimy na kawę z ciastkiem i bitą śmietaną do „Beely'ego”. Kawiarnia znajdowała się na narożniku ulicy Teatralnej, gdzie dziś wybudowano podcienie i gdzie znajduje się kiosk z gazetami.

Wchodząc do kawiarni wychodził naprzeciw smakowity bu-diet aromatów kawy i wszelakiego ciasta, zwłaszcza paczków. Do tego dochodziła kojąca cisza i jakaś szczególna dyskretność. Prawdziwie słodki kącik dla zakochanych i... starszych panów. Nade wszystko zaś wspomniany biogostawiony brak dymu papierosowego, półwornego klimatu naszej współczesnej kawiarni.

Wiktor TUTEJSZY

P. S. Wielce Czcigodny Pan Wincenty Bartkiewicz, brat śp. Tomasza Kazimierza Bartkiewicza, 87-letni weteran wielkopolskiego śpiewactwa, zaszczytliwie nas miłym listem na marginesie felietonu dedykowanego Filharmonii Poznańskiej. Siłownie też Autor pisze m. in., że wkład jego pokolenia w sprawy kultury muzycznej tego regionu był niemały, a „Złot Śpiewaków w r. 1914 w Urbanowie, gdzie dyrygentem był również mój brat Tomasz, pokazał całą siłę naszego śpiewactwa”. A dalej czytamy: „Za mało się pisze na temat ludzi starych, ludzi, którzy zostawili przecież przy warsztatach pracy swoją młodość — i źródło”. Bo taki się też niesłusznie ustalił obyczaj towarzyski od kil-ku lat, że jak dobre — to tylko dzisiejsze, że lepsze będzie jutrzejsze, że to, co wczorajsze, lepiej przykryć chusteczką. Dla ostrożności. Gdyż, jak powiada Moty: „Bo to z żywymi bardzo trudna sprawa, zawsze im się powie za wiele albo za mało”...

W. T.



Jak dotarła prasa, poszukiwaniemi „Człowieka Śniegu” zajmuje się naukowa ekspedycja radziecka. Ostatnio na teren Nepolu wysłała amerykańska ekspedycja, która również stawia sobie jako cel wyjaśnienie zagadki Yeti. Szefem pięcioposobowej ekspedycji jest dr Gerald Russel. W skład ekipy wchodzi 12 Szerpów i 70 tragarzy. Wyprawa powróci do Katmandu w maju. Ci dwaj i jeszcze 68 innych tragarzy nieść będą ekwipunek ekspedycji.

FOT - CAF

Pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą „NOWEGO ŚWIATA” pocztą



— Dobrze, że pan to znalazł „Punch” — Londyn



Słynni komicy ekranu Fernandel i Bob Hope (USA), którzy przybyli do Londynu na premierę swego filmu, uraczyli mieszkańców tego miasta występem estradowym, improwizując mały farsę.

FOT - CAF

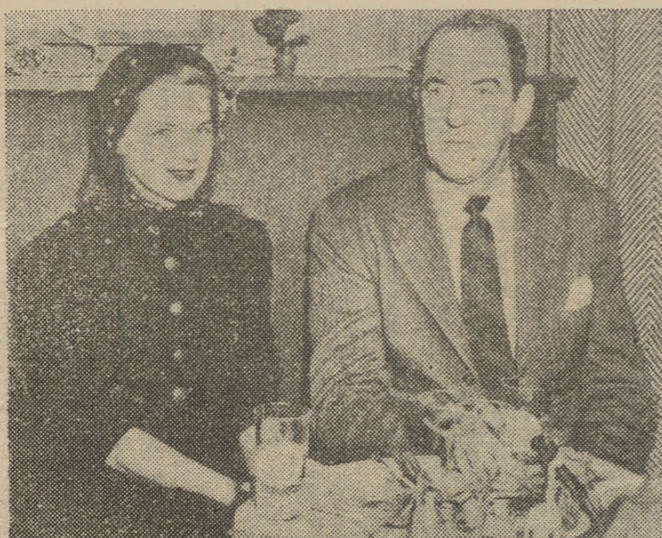
Charakterystyczna koriera mr Rushmore'a

Uważni Czytelnicy zapewne pamiętają to nazwisko. N.e. które nasze pisma podawały szczegóły kariery Howarda Rushmore, która niedawno zakończona została samobójczym strzałem. Ta dość nieczekiwana pointa skłania nas do pośnięcia w skrócie tej historii, która nabiera w tym świetle swoistej wymowy.

Był początkowo współpracownikiem komunistycznego dziennika amerykańskiego „The Daily Worker”. Jego kariera zaczęła się od zamieszczania — oczywiście już nie na łamach „Daily Workera” — artykułów oceniających ruch amerykańskich komunistów. Ponieważ działo się to w okresie terroru senatora Cart hy’ego Rushmore, jako „wtajemniczony” cieszył się dużym wzięciem wśród sfer popierających osławionego senatora. Byli „komuniści” zarobili dużo pieniędzy i nabrał ochoty „na jeszcze”. Ponieważ jednak „rewelacje” owe szybko się skończyły, postanowił zarabiać na innych. Złożył pismo pod wymownym tytułem „Confidential” („Poufne”), w którym publikował intymne szczegóły z życia znanych ludzi USA, szczególnie sypialniane rewelacje gwiazd filmowych obojga płci. Przybierając maskę „moralisty” — uciekał się nierzadko do zwykłego szantażu. Jego dochody rosły z dnia na dzień. Mr Rushmore żył na szerokiej stopie, otoczony podobnymi jemu współpracownikami, pozabawionymi, jak on, wszelkich skrupułów.

Pikantnym szczegółem w karierze tego „stróża moralności” jest historia jego małżeństwa. Był człowiekiem żonatym, ale przy jego prawie nie trudno było mu uzyskać rozwód i ożenić się z niejaką Frances, byłą modeką, również zamełną. Po obopólnych szczegółnie przeprowadzonych rozmowach — Rushmore został mężem p. Frances.

Ale po upadku Mc Cart hy’ego coś niecoś zmieniło się w USA. Zabrakło „ojca duchowego” i przyjaciela. Rush-



„Człowiek, przed którym drżały tysiące ludzi” z małżonką w jednym z ekskluzywnych lokali Nowego Jorku, w szczytowym momencie swej kariery.

Fot.: „Sie und Er”

more musiał przestać redagować „Confidential” i powoli kariera jego zaczęła się kończyć.

Przyzwyczajony do rozrzucania pieniędzy na prawo i lewo, nie mógł się z tym faktem pogodzić. „Albo będę żył tak jak dotychczas, albo koniec ze wszystkim.” mawiał do przyjaciół. Zaczyna pisać nędzne historyjki kryminalne do najbardziej brukowych pism. Ale to już nie było to.

Pewnego wieczoru, kiedy p. ni Rushmore przebywała u swej córki z pierwszego małżeństwa, otrzymała telefon od męża. „Muszę się koniecznie zobaczyć z tobą, koniecznie!”. „Wrócę za godzinę” — powiedziała Frances swej córce i wyszła.

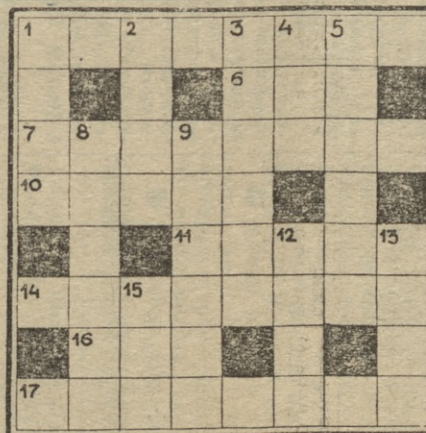
Nowojorski taksówkarz, Edward Pearlman, opowiadał, że na jednej z ulic zostawił zatrzymanym przez wysoką, przystoj-

nią kobietę. Towarzyszącą jej mężczyzna zajął miejsce obok niej, mimo, że kobieta sprzeciwiała się temu. „Niech pan jedzie, to jest moja żona” — usłyszał szofer. Auto ruszyło. „Widzę, że znów potrzeba ci pieniędzy!” — usłyszał szofer w czasie sprzeczki swoich pasażerów. „Nie chcę twoich pieniędzy!” — odparła kobieta i dodała w stronę szofera: „Niech pan jedzie na policję!” Szofer posłusznie zawrócił i wówczas usłyszał krzyk i dwa strzały. Kiedy taksówkarz zatrzymał się przed gmachem policji, Frances Rushmore już nie żyła. Jej mąż odebrał sobie życie w korytarzu posterunku policji.

W taki oto, charakterystyczny sposób, zakończyła się definitywnie kariera Howarda Rushmore’a. Niewiele było zapewne ludzi w USA, którzy płakali na jego pogrzebie... (bk)

KRZY- ZÓW- KA

Redaguje
L. Rudkowski



Poziomo: 1 — Wielbiciel, 6 — Poeta polski, 7 — Ruda miedzi, 10 — Krzew śródlęśnomorski, którego marynowane pączki służą jako przysmaka, 11 — Kamień do wypalania brodawek, 14 — Grzesznik, pokutnik, 16 — Szpik kostny, 17 — Imię żeńskie Pionowo: 1 — Natarcie, napad, 2 — Część dachu, 3 — Przyrząd, urządzenie, 4 — Część dzieła, 5 — Chryzolit, drogi kamień barwy zielono-zielonej, 8 — Papier desenowy, 9 — Gatunek perkalu lub płótna intrigatorne, 12 — Dobre duchy w mitologii perskiej, 13 — Starożytna szkoła filozoficzna w Atenach, 15 — Ptak wodny.

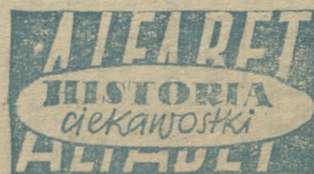
Odpowiedzi należy nadsyłać pod

KALISZ jeszcze raz. W ostatnich ciekawostkach wyraźnie napisano, że to znaczne miasto było stolicą gubernii w zaborze pruskim! Zdziwila się i... historia i sam... autor, za to ręce zatarł z radości Chochlik.

KAMIONNA — wieś w powiecie międzychodzkiem. Ongiś miasto i to nie najgorsze, skoro w r. 1458 Kazimierz Jagiellończykowi po siało aż 3 pieszych na wojnę z Krzyżakami. W r. 1939 zostało bardzo poważnie zniszczone. Tędy prowadził stary szlak na Gorzów.

KARPICKO w powiecie wolsztyskim. Nazwa ta blyszczy łuskami karpia. W r. 1285-6 siedzieli tu Wojciech i Gniewomir.

KASZCZOR — w tymże powiecie. Wydawałoby się, że wieś tę ochrzcił kaczor. Nieprawda! Ochrzcił ją... klasztor. W średniowieczu nazywano tę wioskę po łacinie Antiquum Clastrum — Stary Klasztor. W r. 1278 cystersi założyli tu klasztor potem z nim uciekli nad Jezioro Wieleńskie. (Nie mylić z Wieleńiem nad Notecią!).



KĘBŁOWO. Osiedle (nazwa od kęba, czyli gniazda, siedliska), godne uwagi. Bo i miastem było (od 1327-1883), miało 4 kościoły, dość burzliwą historię. W połowie XV wieku Kębłowo było siedzibą magnata-husyta — Abrahama, bratanka sędzięgo poznańskiego i dyplomaty, także husyty Abrahama ze Zbyszynia. Kębłowski dziedzic miał wówczas oprócz miasta Kębłowa: Wielki Lulek Gniazdowo, Zbącz, Widzim, Wroniawy, Berzynę, Dąbrowę, Sołec, Stradyn, Darremnie obaj walczyli z feudalami kościelnymi. Kler okazał się silniejszy. Abrahamowi pokajali się.

Przed Abrahamem z rodu Głowa ców siedzieli tu od niepamiętnych czasów Jeleni-Niałkowie. Ale o tym przy omówieniu Niałka.

P. S. Autor tych ciekawostek tą drogą przesyła podziękowanie p. Józefowi Józefowskiemu z Moch za łaskawe nadesłanie swoich notatek, odnoszących się do historii wiosek pow. wolsztyskiego. Przy czynił się one do uzupełnienia omawianych miejscowości.

J. P.

PRZYPOMINAMY

ze Turniej Brydżowy Parami o Puchar Przechodni „Nowego Świata” na rok 1958 odbędzie się w sali Domu Prasy (ul. Grunwaldzka 19), w dniach 12 i 13 kwietnia. Każda z par otrzyma pisemne zawiadomienie oraz informacje dotyczące systemu rozgrywek.

KEEP SMILING! — mówią Anglicy i... lekarze

Nie wierzymy specjalnie (zwłaszcza, gdy należymy do piękniejszej połowy ludzkości) w to, że nie suknią zdoł człowieka, lecz człowiek suknie i zgola lekceważąc odnawianie się (licząc sobie około osiemnastu wiosen) do stwardnienia, iż „młodość, to największy majątek”. Trudno nam jednak nie oddać sprawiedliwości jednemu z przysłów, które po angielsku brzmi „Keep smiling!” po naszymu zaś swojsko: „Śmiech to zdrowie”. Trudno nam bowiem poddać w wątpliwość poważne, naukowe stwierdzenia medyczne, a one to właśnie uśmiech przekładają ponad wszelkie środki profilaktyczne. Ba, dobrze się uśmiechać Anglikom — powiecie — ale jakże nam biednym, jakże, z naszymi troskami i kłopotami? To już łatwiej kłąć... A właśnie! Posłuchajcie co na temat owych burzliwych „wylądowań” mówią lekarze.

Uczucie gniewu jest chyba najpopularniejsze wśród współczesnych ludzi. A tymczasem atak gniewu to „wzrost ilości czerwonych ciałek krwi, wzrost ciśnienia do 180-220 mm Hg, zaciskanie się naczyń wieńcowych serca”. Ślad bardzo już niedaleko do nagłego ataku angina pectoris, do pęknięcia naczyń krwionośnego w mózgu a nierzadko nawet i do śmierci. Naprawdę! Któż z nas — gniewających się często a gruntownie — wie o tym, że ciągle stany przygnębienia, denerwowanie się, złość — to w konsekwencji poważne schorzenia żołądka, systemu pokarmowego, to choroba zwana „neurodermatitis” (ślimaczce nie się, łuszczenie i swędzenie skóry) albo inna — „hyperwentyllacja” (przyspieszo-

ny oddech, spadek ilości dwutlenku węgla w organizmie, niepokój, drętwienia palców, omdlenia)? Któż z nas przypuszcza, że każde nowe 10 minut „ulżenia sobie” może stać się przyczyną choroby podobnej zupełnie do wywołanej infekcją — np. chronicznego zapalenia migdałków lub schorzenia korzeni zębów?

Ba, teraz już wiemy co nam grozi — ale jakże się tu od tych bynajmniej nie nęcących „możliwości” wywinąć, skoro każdego dnia i na każdym kroku tyle okazji...

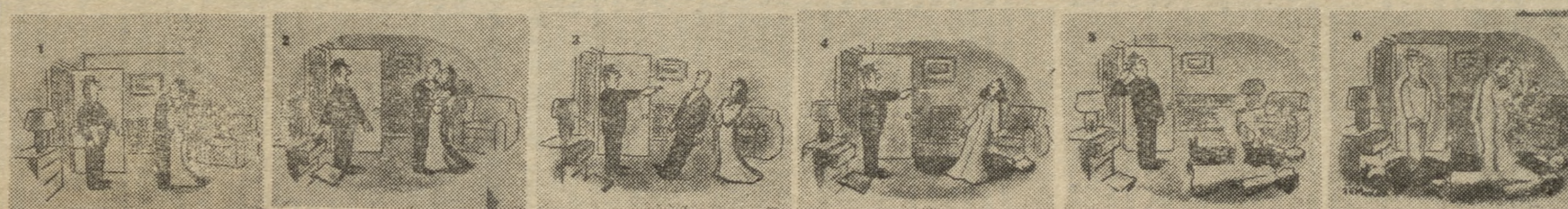
Faktycznie, przestawie się nie będzie najłatwiej, jako iż my Polacy różne piękne maksymy mamy w poważaniu (np. „grunt to forsza”) ale na tą o zdrowiu zawsze patrzyliśmy jak na najwinnutkiego przedszkolaczka.

Ale skoro już o przedszkolu mowa, spróbujmy zapisać się do... przedszkola

Jakże wiele jest osób ludzi, którzy niczego nie lubią. Ich niedojrzałość wewnętrzna — stwierdza J. A. Schindler — izoluje ich od reszty ludzi, czują się prześladowani i wreszcie stają się hipochondrykami. Ten, kto systematycznie narzeka na wszystko „przyczepia się” szuka dziury w całym, wymyśla i „czarnoprawiduje” — najczęściej jawia się w końcu w gabinecie lekarza. Jest pewien rodzaj ludzi, zatrzymujących sobie życie brakiem zdecydowania, pielęgnowanie wątpliwości, które trzymają ich w napięciu. Lepiej pozwolić sobie na drobne omyłki życiowe niż rozmyślać, przeżywać i poprawiać się w nieskończoność. Inni — żyją w wiecznym oczekiwaniu czegoś, co ma nastąpić tracąc w ten sposób wartość chwili obecnej. A przecież jedyną chwilą, w której naprawdę żyjemy — zwraca nam uwagę p. Schindler — jest chwila obecna, a najlepszym zabezpieczeniem przyszłości jest właściwe traktowanie chwili obecnej i „wylądanie” z niej wszystkich uroków i radości.

A zatem „keep smiling” — jak powinni mówić również Polacy.

(KAJ)



HISTORIA BEZ PODPISU

(„New Yorker”)